

ZAWSZE BĘDĘ CIĘ STRZEC

Co zadecyduje
o jej losie:
rodzinny sekret
czy wojna?

RACHEL GIVNEY

BUKOWY LAS

Klepki

KRAKÓW, POLSKA, LUTY 1939

Gdy Maria przymierzała się, by wtargnąć do sypialni ojca, czuła, jak wzbiera w niej poczucie winy z powodu tego braku lojalności. Protoplasta cieszył się na mieście szacunkiem, nie wtrącał się do cudzych spraw i uczęszczał do kościoła osiem razy w tygodniu (co rano, a w niedzielę dwa razy). Nie interesowało go nic poza adoracją Najświętszego Sakramentu oraz cyklami reprodukcyjnymi bakterii. Nie zasłużył sobie na taki brak szacunku ze strony jedynej córki. Niestety Maria nie potrafiła już poskromić palącego pragnienia, by dowiedzieć się czegoś – czegokolwiek – o swojej matce. Owo śródowe popołudnie, gdy okazałe, grube krople deszczu spadały na bruk za oknem, stanowiło zatem równie dobry termin, żeby go zdradzić, jak każdy inny.

„Ludzie widzą tylko to, co chcą”. Tak zawsze powtarzał ojciec. Rzadko kiedy udzielał ojcowskich rad – był to jego jedyny flirt z banałem. Jeżeli przyjmuje się do wiadomości jedynie najwęższe znaczenie osoby czy przedmiotu, świat staje się znacznie pośledniejszym i mniej ciekawym miejscem.

Nie była pewna, co ojciec miał na myśli ani dlaczego lubił to powtarzać, ale teraz zamierzała wykorzystać powiedzonko,

by wdrzeć się do jego pokoju. Wyjęła wsuwkę z blond włosów. Nie miała doświadczenia w zakresie włamań, ale Olaf, miejscowy młodociany przestępca, który jeździł tym samym co Maria tramwajem w te dni, gdy akurat postanowił zawitać do szkoły, przechwalał się ostatnio, że można otworzyć zamek cienkim kawałkiem metalu. „Trzeba wsadzić i poruszać”, chełpił się, krztusząc się cygaretką.

Maria z uśmiechem uniosła mosiężny patyczek. Większość właścioleek wsuwek widziała w nich wyłącznie coś, co przytrzyma im włosy. Maria dostrzegła w niej coś więcej. Klucz.

Nie spodziewała się cudów po poszukiwaniach w pokoju tatki, ale wiedziała, że coś się tam musi kryć. Listy, może nowy adres matki? Ojciec nie zamykał w domu żadnego innego pomieszczenia, nawet swojego gabinetu, gdzie leżały ważne notatki z badań naukowych. Przecież nikt nie ryglowałby drzwi, gdyby w środku nie znajdowało się nic wartościowego.

Kiedy wchodziła po schodach do pokoju ojca, z zewnątrz dobiegł ją znajomy odgłos, który dało się określić jedynie jako łoskot. Sąsiadka, pani Nowakowa, znów układała worki z piaskiem w stosy. Korpulentną kobietę mierzącą niespełna półtora metra trawiła obsesja, że *Herr* Hitler za dzień czy dwa najedzie Polskę. Od trzech lat przestrzegala sąsiadów, przyjaciół i każdego, kto tylko chciał słuchać, przed nieuchronną, rychłą wizytą Führera. Otoczenie kręciło głowami i uznawało ją za pomyloną, ona jednak nie ustawała w pracy. Wokół głównego wejścia do domu budowała mur z worków z piaskiem, by zabarykadować się na noc... wraz z pozostałymi lokatorami budynku, nie biorąc pod uwagę, czy oni tego chcieli, czy nie. Odprawiała tę ceremonię codziennie i dokładała na stertę kolejne worki, w miarę jak znajdowała więcej piachu. Padający dzisiaj deszcz jej nie powstrzymał, nawet huragan nie stanąłby kobiecie na przeszkodzie. Lecz mimo że huk worków z piaskiem drażnił Marię, obecnie miała ważniejsze sprawy na głowie. Dotarła pod drzwi sypialni ojca i schyliła się, by się im przyjrzeć.

Zamek był nowoczesny i znajdował się we wnętrzu klamki. Żadna inna klamka w domu nie została wyposażona w taki mechanizm, ojciec więc zapewne zamontował go samodzielnie. Wyjęła z włosów drugą wsuwkę, jako że według ambitnego młodocianego przestępcy Olafa do otwarcia zamka potrzebne były dwie. Uwolniony przez usunięcie wsuwki pukiel włosów opadł jej na twarz, zakrył lewe oko i utrudnił widzenie. Zdmuchnęła włosy, a potem zatknęła je za ucho. Wsadziła wsuwki – jedną w dół zamka, a drugą tuż nad pierwszą – i zgodnie z zaleceniami Olafa poczęła nimi gmerać.

Dłubała i dłubała. Wierciła nimi tak mocno, że aż rozbolał ją łokieć. Nic to jednak nie dało. Gdy pracowała, klamka się chyba poluzowała, ale sam zamek ani drgnął. Co począć? Zerknęła na zegar w głębi korytarza. Wskazówki pokazywały już niemal szóstą po południu. Ojciec niebawem wróci do domu. Będzie musiała zrezygnować z zamysłu. Zwymyślała sobie i wsuwki, które tyle jej naobiecowały, złorzeczyła Olafowi za jego nieskuteczne rady, a na dobitkę również pani Nowakowej nadal budującej na zewnątrz piaskowy mur. Spróbuje innym razem, gdy będzie miała więcej czasu na zmierzenie się z tym zadaniem. Cofnęła rękę, by wyjąć wsuwki z zamka. Jedna spadła jej na dłoń, druga jednak ani drgnęła. Maria pociągnęła za nią jeszcze raz, ale zamek złapał metal w sidła swoich szczęk.

Zaparła się nogami, chwyciła wsuwkę mocno i szarpnęła ze wszystkich sił. Z wysiłku przewróciła się na podłogę, ale wsuwka wyszła z drzwi. I to razem z zamkiem. Cały mechanizm – w środku którego nadal tkwiła wsuwka – spoczywał obecnie w dłoni Marii. W drzwiach w miejscu niegdysiejszej klamki ziała teraz poszarpana dziura.

Popatrzyła przelotnie na zegar w korytarzu – dwie po szóstej. Ojciec powinien być w domu o szóstej czternaście, a spóźniałstwo nie leżało w jego naturze.

Maria zastanowiła się, czy jest szansa, że ojciec nie zauważy, co zrobiła. Był chirurgiem w szpitalu miejskim i dla rozrywki studiował na przykład maleńkie organizmy pod mikroskopem.

Prawdopodobieństwo, że dostrzeże dziesięciocentymetrową dziurę w drzwiach do własnej sypialni, wydawało się bardzo wysokie.

Przymierzała się właśnie, by wsunąć klamkę z powrotem na miejsce, gdy drzwi się uchyliły i dały jej wgląd do pokoju. Przez okno w głębi pomieszczenia do wnętrza wpadała smuga popołudniowego światła. Maria wyobrażała sobie sypialnię ojca wiele razy. Niekiedy, gdy leżała nocą w łóżku i słyszała skrzypienie parkietu, snuła fantazje o tym, co on właśnie robi. Pisuje sekretne listy do jej matki, w których błaga, by wróciła? Sprawdziła godzinę. Nim zdążyła się rozmyślić, wpadła do środka. Rozejrzył się prędko, a potem naprawił drzwi.

Powiodła spojrzeniem po pokoju. Podłogę pokrywał wypucowany drewniany parkiet. Ze sztywnej od krochmalu pościeli wzbijała się woń mydła karbolowego. W głowie łóżka leżała nierówna poduszka – sprawiała wrażenie, jakby ojciec wypchał ją kamieniami. Ani odrobina kurzu nie kalala parapetów, żaden ślad pyłu nie brukał klepek – najtrafniej dałoby się opisać tę przestrzeń jako „szpitalną salę opatrzoną przez zawziętą oddziałową”. Czuła rozczarowanie, lecz zarazem ulgę. W głębi serca zastanawiała się, czy w alkowie ojca nie natrafi przypadkiem na jaskinię nieprawości, może chował u siebie ołtarz ku czci sił nieczystych albo gromadził dokumenty z misji, jakie odbył, pracując w charakterze podwójnego agenta na rzecz Stalina. Tymczasem przekonała się, że w prywatnej przestrzeni ojciec zachowywał się tak samo jak w publicznej – niczym człowiek stroniący od zbytków, który łątał szkolne bluzki Marii i piekł dla niej chleb, a za zamkniętymi drzwiami był tak samo podległy konwenansom jak na oczach świata. Jawił się jako stabilny towarzysz i niebezzasadnie można by nazwać go nudnym. Stosowność zachowania ojca stała w jaskrawym kontraście z rozwiązłym ponoć postępowaniem jej matki, która, jak sugerowała sytuacja, opuściła ich z sobie znanych, samolubnych i lubieżnych przyczyn.

Ojciec spał na wąskim łóżku. Szafkę nocną zdołała jedna jedyna fotografia: zdjęcie w skórzanej ramce przedstawiało uśmiechniętą sześciolletnią Marię. Jeśli w jej ciele kryły się jeszcze jakieś zakamarki, gdzie mogłyby się zagnieździć nowe wyrzuty sumienia, teraz zostały zasiedlone. Wszystko wskazywało na to, że Maria była jedyną kobietą w życiu ojca, a właśnie włamała się mu do sypialni.

Zauważyła komodę ze zmatowiałego mahoni. Otworzyła górną szufladę, przegrzebała skarpetki i bieliznę ułożone w dwóch równych rzędach. Dziwnie się czuła, oglądając zwinięte skarpety ojca – wcześniej widywała je wyłącznie na jego stopach. W szafie znalazła wykrochmaloną na sztywno odzież i zapasowy gorset, który nosił, by skorygować skoliozę, jakiej nabawił się w dzieciństwie. W szafce stały dwie pary skórzanych butów, wypolerowanych do skromnego połysku.

Wszystkie rzeczy, które poprzestawiała, odłożyła na miejsce. Nie było to trudne, bo matematyczna precyzja ich pierwotnego ułożenia pomagała umieścić je prawidłowo. Maria zostawiła wewnątrz w takim stanie, w jakim je zastała. Była ciekawa, po co ojciec zwraca sobie głowę zamykaniem drzwi. Nie istniało tu nic, co warto by ukrywać.

Nagle jednak nastąpiła na jakąś luźną klepkę i w pokoju rozległo się irytujące skrzypienie. Zatrzymała się. Drugi raz nacisnęła podłogę stopą. Drewniana klepka była poluzowana.

Pomknęła na dół po nóż do smarowania, by podważyć nim drewno. Klepka się uniosła. Odłożyła ją na bok, a potem wyteżyła wzrok, patrząc na otwór w podłodze. Przed oczyma Marii rozciągała się spora przestrzeń, ale ciemność utrudniała rozeznanie się. Maria zaczęła oddychać szybciej. Wsadziła rękę do dziury, a jej skórę musnęło ciepłe, suche powietrze. Grzebała w otworze dłonią po omacku, z głową i resztą ciała na górze.

Wyciągnęła rękę wkoło i macała podłogę. Wzdrygnęła się, czując pod palcami bawełnianą, gąbczastą, pajęczą sieć. Cofnęła dłoń z przerażeniem i zobaczyła, że spowijają ją białe nici.

Wytarła rękę do czysta o spódnicę, zacisnęła zęby i wsadziła dłoń z powrotem pod podłogę. Skrzywiła się, przeświadczona, że pajęczyna czai się tam na nią, i już miała wyjąć rękę, gdy nagle natrafiła na szczętny przedmiot. Postukała w niego kilka razy, przekonała się, że nie jest to żywy organizm, i wyjęła go.

Obejrzała przedmiot ze wszystkich stron. W jej dłoni spoczywało małe pudełeczko na biżuterię z wyblakłego kasztanowego aksamitu. Serce zabiło jej w piersi mocniej; to pudełeczko należało do jakiejś kobiety.

Już miała je otworzyć, lecz się zawahała. Czy chciała wiedzieć, co się w nim kryje? Klepka, zamek w drzwiach – wszystko nabrało głębszego znaczenia. Nagle na dole rozbrzmiał nowy odgłos, zatrważająco znajomy. Do innego zamka wsunięto klucz, tym razem prawdziwy. Usłyszała, jak ojciec otwiera drzwi frontowe i wchodzi do domu.

– Mario? – zawołał.

Krew zastygła jej w żyłach. Odłożyła klepkę na miejsce i czmychnęła z pokoju, włożywszy kasztanowate pudełeczko do kieszeni.

Klamka nadal leżała na podłodze. Marii zapało dech z przerażenia. Mechanizm klamki w istocie składał się z dwóch części, czego dziewczyna wcześniej nie spostrzegła. Pierwsza część klamki wychodziła na zewnątrz, drugą stanowił element skierowany do wewnątrz drzwi.

– Mario? – zawołał ponownie ojciec. Musiała się odezwać.

– Już idę, tatku – oznajmiła pogodnym tonem.

– Chcę ci coś pokazać. – Usłyszała szcęk garnka; ojciec robił coś w kuchni. Maria w myślach zaklinała go, by tam pozostał.

– Zaraz zejść, tatku – zapewniła.

Szansę, że się jej upiecze, nie wydawały się duże. W drzwiach sypialni ojca ziała dziura. Nie dałoby się rozsądnie wyjaśnić jej istnienia, chyba że powiedziałyby prawdę.

Maria wyobraziła sobie, co by było, gdyby ojciec odkrył, że wtargnęła do jego prywatnej przestrzeni. Łączyła ją z nim cie-

pla zażyłość, jaką nie mogła się pochwalić większość dziewcząt w mieście względem własnych rodziców. Dominik Karski dbał o swoją córkę i dobrze się nią opiekował. Obsesyjnie wręcz zadreślał się jej odżywianiem i tężyzną fizyczną, w stopniu wykraczającym poza zawodową dumę i zakrawającym na troskę irracjonalną. Ilekroć skarżyła się na ból głowy czy udawała, że jest chora, przynosił stetoskop i w nieskończoność analizował brzmienie jej oddechu oraz rytm serca, aż w końcu nawet Marię zaczynało to nużyć. Wygłaszał następnie diagnozę, jak zawsze, że córka jest w pełni zdrowa, a wyniki badań jej wzorcowych parametrów życiowych przechowywał w teczce. Wyobraziła sobie wyraz jego twarzy, gdyby ją nakrył na włamaniu do sypialni. Jej łagodny, wspaniałomyślny ojciec. Nie okazałby gniewu, lecz coś znacznie gorszego. Rozczarowanie. Zadrzała na tę myśl – nie mogła do tego dopuścić.

Zebrała elementy klamki i przyjrzała się im. Z jednego z nich zwisały luzem dwie śrubki. Nie rozkręciła zamka, lecz wyjęła z drzwi cały mechanizm. Wsunęła dwie klamki z powrotem na miejsce i zaczęła je skręcać nożem do smarowania.

– Skończyli Świętego Bartłomieja. Nareszcie! – zawołał znów z dołu ojciec. Maria wzdrygnęła się i upuściła nóż. Brzęk garnków na dole ustał. Przełknęła ślinę. Ojciec nadal mówił o kościele, a głos rozlegał się coraz donośniej, bo fale dźwięku miały do pokonania krótszy dystans. Wchodził po schodach. Dłoń Marii spotniała i dziewczyna zakłęła. Udało jej się uporać tylko z jedną śrubką. Wzięła nóż i zaczęła dokręcać drugą, ale ojciec właśnie dotarł na górę. Wsadziła więc śrubkę do kieszeni i zerwała się na równe nogi.

Ojciec nie patrzył na nią, lecz na ulotkę, którą trzymał w ręku. Podał ją córce.

– Proszę.

Ulotka informowała o ukończeniu okna w kościele, do którego z ojcem chodzili. Na fotografii w pełnej okazałości widniał witraż przedstawiający Świętego Bartłomieja żywcem obdzieranego ze skóry – oprawca odcinał mu nożem pasma

tkanki. Mimo że skóra odchodziła od ciała krwawymi zwojami niczym zwinięta kora od pnia, twarz Świętego Bartłomieja wyrażała spokój, a męczennik spoglądał w górę ku Bogu z anielskim uśmiechem. Maria usiłowała wziąć z niego przykład i tak jak on zapanować nad sobą.

– Alleluja – odparła, tłumiąc zadyszkę. – Nie spieszyli się – dodała.

– Mogło to potrwać jeszcze dłużej – zauważył ojciec. Zasiadał w komisji, która miała nadzorować wykonanie okna, uczęszczał więc na spotkania z biurokratami i klerem. Maria przypatrywała mu się badawczo, czy nie odkrył jej występkę, ale on wodził wzrokiem wyłącznie po swym skórowanym świętym. Głos miał jak zwykle łagodny i spokojny. – Co to takiego? – spytał, pokazując coś, co miała z boku.

Oto nastąpiła ta chwila, przyłapał ją. On jednak sięgnął dłonią ponad kieszeń Marii i uniósł jej rękaw.

– Dżem truskawkowy – odpowiedziała z ukrywaną ulgą. Wcześniej wytarła usta mankietem. – Przepraszam, tatko.

Ojciec zapowiedział, że kolacja będzie o siódmej, jak co wieczór. Wyraził życzenie, by namoczyć przez noc bluzkę z truskawkową plamą, Maria poszła więc do siebie, żeby się przebrać.

Serce dziewczyny waliło jak młotem. Nie miała pojęcia, jakim cudem się jej upiekło. Czekwała, aż ojciec wmaszeruje do pokoju i oskarży ją o włamanie. Zauważył brak śrubki. Albo coś innego, czego nie odłożyła we właściwe miejsce. Ale ojciec nie przyszedł. Westchnęła i się rozebrała.

Wyjęła kasztanowate pudełko, które paliło ją w kieszeni przez cały czas, gdy rozmawiała z ojcem. W końcu znajdzie sposób, by zwrócić je ojcu i umieścić tam, gdzie było. Teraz jednak obchodziło ją wyłącznie to, co znajdzie w środku. Przyjrzała się puzderku jeszcze raz, obracała je w dłoni, a potem spróbowała otworzyć. Wieczko trzymało mocno – nie było sklezione, lecz zabezpieczone czymś innym. Szarpnęła ponownie, tym razem mocniej, i puściło.

W środku leżało pasmo włosów.

Wyjęła je. Przypominało jej własne złocistoblond kosmyki, ale wyglądało na dłuższe i grubsze – Maria nie miała nigdy tak długich pukli. Nie pochodziło z głowy dziecka, nie były to delikatne loczki, które rodzic zachowałby po pierwszym strzyżeniu latorośli. Trzymała w dłoni grube pasmo blond włosów, splecione w warkocz ciężki niczym sznur. Ktoś zwinął je i wcisnął do pudełka. Były to włosy dorosłej kobiety.

Ścisnęło ją w żołądku na myśl o tym, że ojciec ukrywał pod podłogą jakąś część innej osoby, a ona to odkryła. Włosy oderwane od głowy, nawet niemowlęcej, miały w sobie coś ohydneho i choć czuła teraz podobny wstręt, nie mogła się oprzeć, dotknęła warkocza i wtuliła w niego nos. Pławiła się we własnym przerażeniu, porównywalnym z pragnieniem wytarzania się w błocie albo powąchania mleka, które wyglądało na zepsute – dla czystego doznania i zdobycia wiedzy o czymś, czego się wcześniej nie zaznało. Roztarła splot między palcami. Pasma włosów ustąpiły pod jej dotykiem i się rozdzieliły, a na kolana opadły cząsteczki kurzu i pyłu. W powietrze wzbiła się olśniewająca nuta wody różanej. Słodka woń świeżych płatków cofnęła ją do chwili, gdy ostatni raz widziała matkę – teraz sobie przypominała, przecież jej matka pachniała wodą różaną! Był to jeden z nielicznych okruczeństw wiedzy o rodzicielce, które Maria posiadała. Nabrała tchu gwałtownie, gdy zaświtała jej w głowie myśl.

Włosy należały do jej matki.

Maria odnosiła wrażenie, jakby trzymała ją żywą w dłoniach. Gdyby jeszcze raz powąchała włosy, może usłyszałaby jej śmiech. Nagle poczuła się jedynie na wpół uformowana, niczym niepełna osoba, której od ciała odrąbano fragment jestestwa. Maria pisała lewą ręką, ojciec prawą. Kim była leworęczna osoba, która ofiarowała jej połowę swoich genów i stworzyła pięćdziesiąt procent Marii? Palce Marii miały inny kształt niż palce ojca – jej paznokcie były podłużne i zwieńczone eleganckimi półksiężycami, podczas gdy kwadratowe

i kanciaste paznokcie rodzica osadzone były mocno na końcach palców. Czy odziedziczyła je po matce? Istniały też inne, głębsze kwestie niż paznokcie czy leworęczność. Jak na dłoni widać było, że Maria nie przypomina ojca ani z wyglądu, ani z charakteru. O ile Dominik nigdy nie podnosił głosu, o tyle Maria czerpała satysfakcję z krzyku. Uwielbiała się śmiać, podczas gdy jej dobry i wyzbyty radości ojciec nigdy się nie uśmiechał. Dominik trwał na podobieństwo głębokiej sadzawki czy tysiącletniego jeziora, którego powierzchni nigdy nie zaburzały fale. Maria żyła niczym pożoga trawiąca napotykaną po drodze las. Patrzyła niekiedy na rodzica i zastanawiała się, czy w ogóle go zna. Marzyła o tym, by spotkać osobę, która obdarzyła ją swym ogniem.

Maria przeżyła na świecie niespełna dwa lata, gdy odeszła jej matka. Od szesnastu lat ojciec utrzymywał, że opuściła ich z przyczyn nieznanych. Nigdy nic więcej na ten temat nie mówił, a jeśli próbowała dopytywać, jeszcze mocniej się w sobie zamykał. Dlaczego przechowywał włosy matki przez te wszystkie lata? Nigdy nie uważała go za romantyka. Czy milcząc i w skrytości serca za nią tęsknił? Czy nadal ją kochał?

Otarła wilgoć, która zebrała się jej w oku, po czym zmusiła się, by z powrotem zwinąć włosy i włożyć do pudełka. Docisnęła wieczko, by jak najlepiej je zatrzaskać. Tej nocy jeszcze trzy razy otwierała puzderko, aby powąchać i pogłodzić kosmyk. Następnego ranka odłożyła włosy na miejsce pod podłogę u ojca, gdy ten był w pracy, potem porządnie naprawiła uszkodzone drzwi i zamknęła je za sobą.

Maria włamała się do sypialni ojca w nadziei, że znajdzie strzęp informacji, dzięki któremu oznajmi sąsiadom, iż matka odeszła ze szlachetnych pobudek, i zmaże zostawioną przez jej nieobecność skazę na własnej reputacji. Teraz jednak, gdy znalazła coś, co naprawdę należało do matki, nie dbała już o zaspokojenie wymogów poprawności w oczach mieszczan, lecz poczuła chęć po stokroć gorszą. Rozwarła się w niej otchłań tęsknoty, z okowów wyrwał się potwór.

Odkrycie pukla włosów – tak makabryczne, osobliwe, niespodziewane – wszystko zmieniło. Nie mogła już wrócić do przeszłości. Odłożyła na bok dociekanie przyczyn odejścia matki i skupiła się na tym, by ją odszukać.

Gdyby Maria Karska wiedziała, ile przyjdzie jej się dowiedzieć w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym, może życzyłaby sobie czegoś innego. Teraz jednak pewna była jednego: nie spocznie, dopóki nie odkryje, co spotkało jej matkę.

Bakteriobójstwo

Dominik Karski od prawie sześciu miesięcy nie stracił ani jednego pacjenta, co prawdopodobnie zakrawało na rekord w szpitalu, w którym pracował. Kraków cieszył się złą sławą ze względu na wysoką śmiertelność, miasto nękały bowiem typowe dolegliwości i plagi, jak również kilka egzotycznych przypadłości. Nie wspominając o tym, że spory odsetek populacji stanowili rolnicy, którzy najwyraźniej uparli się toczyć boje ze swoimi żniwiarkami. Mimo to doktor Karski w ciągu ostatnich stu siedemdziesięciu czterech dni nie był świadkiem zgonu ani jednej osoby znajdującej się pod jego pieczęcią. Rzadko kiedy można było liczyć na takie szczęście. Pielęgniarki zakładały się nawet między sobą, jak długo potrwa szczęśliwa passa. Jednak gdy spojrzał na leżące na łóżku dziecko i jego spanikowaną matkę, uznał, że niebawem ktoś zgarnie pulę.

Chłopczyk marniał w oczach na szpitalnym łóżku. Matka ocierała mu brew, trzymając w drżącej dłoni flanelową ściereczkę. Siostra Emilia ściągnęła Dominika z obchodu i zaprowadziła go na oddział dziecięcy.

– Pomyślałyśmy, że może pan spojrzy, doktorze – wymamrotała. Nie patrzyła mu w oczy. Może było jej głupio, że przerwie jego mistrzowską serię.

Dominik stanął przy łóżku chłopczyka i przesunął okulary na nosie. Dziecko leżało bezwładnie, przykucnął więc, by popatrzeć mu w oczy.

– Jak się nazywasz, młodzieńcze?

Chłopczyk przetoczył głowę w jego stronę.

– Daniel – odparł ponurym tonem.

Tchawicę miał pełną śluzu. Gdy dziecko się odezwało, z jego ust dobył się paskudny fetor. Dominik nie wzdrygnął się, czując odór, wręcz przeciwnie – pochylił się w stronę pacjenta i zaczerpnął tchu, by przeanalizować charakter infekcji.

– Czy mogę osłuchać ci płuca, Danielu?

Dziecko skinęło głową. Dominik zdjął stetoskop z szyi, rozpiął koszulę chłopca i obrzucił spojrzeniem tułów. W drobnej sylwetce podobnej do ptaszka odznaczał się ogromny, wystający brzuch. Obojczyki sterczały pod cieniutką jak papier skórą, guzki wyłaziły ku górze jak śledzie od namiotu. Ich zarys przypominał Dominikowi o dawniejszym życiu, które z wdzięcznością zostawił za sobą.

Rozgrzał stetoskop chuchaniem, a potem włożył go dziecku pod koszulę i poprosił, by chłopczyk zrobił wdech. Daniel nabrał powietrza z łatwością, lecz skrzywił się, gdy je wypuszczał. Dominik nasłuchiwał odgłosów. Oddech zdrowego człowieka rezonuje i szumi, ukazując swobodny przepływ powietrza przez płuca. Oddechowi tego dziecka nie towarzyszyły żadne dźwięki tego rodzaju – chrzęścił niczym opony na nieutwardzonej nawierzchni drogi. Nie docenia się radości płynącej ze swobodnego oddychania, dopóki się jej nie utraci. Ten chłopiec, biorąc haust powietrza, musiał się czuć, jakby oddychał przez mokrą szmatę.

Każdy praktykujący lekarz przygotowuje się na znaki umiierania, które są zawsze takie same. Oddech przyspiesza i staje się płytszy, członki opadają. Trzewia się rozkurczają. Jest jeszcze jeden symptom, nieco bardziej subtelny i swoisty dla ssa-ków – spojrzenie utkwione w nicości, sygnalizujące rezygnację ciała, zmianę nastroju, zgodę na to, że życie szykuje się do drogi.

Wbrew dominującym przeświadczeniom większość konających odchodzi łatwo, nie wyrażając gniewu, lecz z akceptacją kolei rzeczy. U tego malucha widać było każdą pozycję na liście oznak śmierci oprócz tej jednej. Dziecko nie spoglądało w dal, pogodnie oczekując końca; nie chciało odchodzić. Oczy patrzącego na Dominika chłopca nie wyrażały łagodnej akceptacji, lecz gorący bunt. Przypominały parę granatowych marmurowych kulek – kolorem dorównywały piórom modraszki. Lustrowały szybko twarz lekarza, wpatrywały się w niego dziko, rozpaczliwie. Chłopiec nie okazywał nawet śladu chęci, by przejść na drugą stronę. Spojrzał za Dominika, jak gdyby sama Śmierć stała za jego plecami, zakapturzona i spowita peleryną, machając kosą, a on mierzył się z nią wzrokiem buńczucznie: „Dziś mnie nie zabierzesz”. Potem znów wbił szaleńcze spojrzenie w lekarza, jak gdyby zawierał umowę. „Pomóż mi”, mówił Daniel. „Próbuj wszystkiego”. Właśnie ten wyraz oczu dziecka, rzadki w podobnym kontekście i niepokojący, wywarł na Dominiku wrażenie tak wielkie, że lekarz poczuł się zmuszony do działania.

– Pokaż mi się na siedząco, młodzieńcze – rozkazał Dominik.

Daniel popatrzył na niego niepewnie.

– On jest zmęczony, panie doktorze – zaproponowała matka.

Lekarz wiedział, że jego prośba jawi się jako paradoksalna – prosić konającego, by usiadł.

– Wiem, że wymaga to ogromnego wysiłku, lecz jesteś silnym chłopcem. Pewnie szybko biegasz i wysoko skaczesz?

Chłopiec pokiwał głową z przejęciem, potwierdzając, że jest atletą, i spróbował się unieść do pozycji siedzącej. Chude ramiona chwiały się i trzęsły, spocił się z wysiłku, nie udało mu się. Wystawił język bokiem z ust i zamierzył się jeszcze raz. Zaparł się łokciami z determinacją i w końcu się podniósł. Spojrzał na Dominika, czekając na pochwałę.

– Doskonale – rzekł lekarz. W jednej chwili oddech się poprawił, w miejsce mokrego szmeru pojawił się klarowniejszy i bardziej suchy szelest. – Siostró. Pozycja Fowlera.

Siostra Emilia podeszła pospiesznie i uniosła oparcie łóżka do czterdziestu pięciu stopni, by chłopiec mógł siedzieć.

Matka chłopca – siostra Emilia zwracała się do niej imieniem Rut – uśmiechnęła się z radością. Dominik skwitował rozwój sytuacji lekkim skinięciem głowy, potem jednak na powrót skupił się na pacjencie, albowiem skuteczność tego rozwiązania miała się wyczerpać. Obecnie zakażony płyn zbierał się na dnie płuc, lecz jego poziom będzie wzrastał i jeśli nie podejmie się leczenia, obezwładni cały narząd. Ten pacjent utopi się od środka.

– Próżny trud, to przypadek beznadziejny – oświadczył jakiś mężczyzna za ich plecami. Dominik rozpoznał głos i pohamował westchnienie. Doktor Igor Wolański pomaszzerował ku niemu z rozszierzoną miną i pulsującą na czole żyłką. – Ma zaawansowaną influencę – orzekł. Słyszając to słowo, matka Daniela zadygotała, jak gdyby zaklął albo wypowiedział bluźnierstwo. Całe pokolenie Polaków przypląciło życiem tę zarazę. – Zabija go to – dodał doktor Wolański niepotrzebnie. – Nic nie da się zrobić. Po co go sadzasz? Musi się położyć, żeby umrzeć w spokoju. To mój oddział i mój pacjent. Wracaj do siebie, Dominiku.

Dominik był chirurgiem, lecz coraz częściej proszono go o pomoc w sprawie infekcji. W zszytą ranę w ciągu kilku godzin może się wdać zakażenie, jeżeli się o nią prawidłowo nie zadba. Z tego względu stał się wręcz ekspertem w tej dziedzinie, a pielęgniarki z oddziału zakaźnego – a właściwie każdego – często prosiły, by zerknął na ich pacjentów. Nierzadko oglądał nękanym gronkowcem czy paciorkowcem ludzi leżących na oddziałach dla chorych na choroby weneryczne, płucne, a niekiedy na dziecięcym.

Tutaj to doktor Wolański uchodził za specjalistę – był wszak pediatrą – Dominik wkraczał zatem na jego teren. Inny lekarz może okazałby wdzięczność za pomoc, ale nie doktor Wolański. Kroiła się kłótnia.

– Co mu podano? – zapytał Dominik, zwracając się do pielęgniarki i ignorując Wolańskiego.

– Laudanum. Cztery krople – odparła.

Dominik milczał. Taka ilość opium zwałiby z nóg dorosłego mężczyznę.

– Po laudanum przestawał kaszleć – wtrącił doktor Wolański ostrym tonem. – I cierpieć. Dziecko nie powinno zaznawać bólu. Nie zamierzam się tłumaczyć ze swoich decyzji, Dominiku – dodał, choć dokładnie to właśnie robił.

– Ból jest przydatny – odpowiedział Karski spokojnie i skinął głową. – Zdradza, że coś jest nie tak, jak powinno. Kaszel także odgrywa istotną rolę. Usuwa toksyny z organizmu. – Mówił łagodnym tonem, który przybierał podczas każdej rozmowy z doktorem Wolańskim. Nie chciał go rozdrażnić. – Zgadzam się z twoimi początkowymi uwagami, lecz z całym szacunkiem, z pozostałymi już nie.

Doktor Wolański piorunował Dominika wzrokiem.

– Może odbędziemy tę rozmowę na osobności. – Karski zerknął przelotnie na matkę chłopca, Rut, która gorliwie przyśluchiwała się wymianie zdań.

– Wykluczone – odparował Wolański. – Moja diagnoza i zastosowane leczenie są właściwe. Jeśli brakuje ci wiedzy w tej materii, to już twoje zmartwienie.

– Doskonale. – Dominik poprawił okulary na nosie i ciągnął rozmowę przy łóżku dziecka. – Twój pacjent ma zaawansowaną influencę. Lecz to nie grypa go zabija. I można by coś wskórać.

Pediatra się roześmiał.

– Twierdzisz, że influenza nie zbiera śmiertelnego żniwa? Że choroba, która zmiotła ćwierć naszych młodych żołnierzy, najsilniejszych i najdzielniej walczących podczas Wielkiej Wojny, nie zabija? – Często wygłaszał podobne tyrady, ustawiwszy się na tle statystyk i wydarzeń historycznych, jak gdyby nie był lekarzem, lecz politykiem przemawiającym do tłumu i ubiegającym się o urzędy.

– Influenca rzadko prowadzi do zgonu – odparł Dominik. Takie uwagi na ogół wywoływały pogardliwe prychnięcia i dzisiaj nie było inaczej. Doktor Wolański zaśmiał się drwią-

co i cmoknął, a matka chłopca popatrzyła na Dominika, jakby oszalała. Nawet Daniel na łożu boleści zadarł brew. – Ten chłopiec nie umrze na grype, chociaż rzeczywiście kona.

Doktor Wolański założył rękę na rękę.

– Na co więc umrze?

– Na zapalenie płuc. – Dominik się rozejrzał. Wszyscy milczeli, więc ciągnął: – Wirus grypy zaatakował i osłabił jego system odpornościowy. Drobnoustroje oportunistycznie wykorzystały okazję i założyły w jego płucach niewielką osadę.

Doktor Wolański machnął ręką.

– Dobrze, w takim razie cierpi również na zapalenie płuc. Co za różnica, zapalenie płuc jest równie śmiertelne jak grypa. Nie istnieje na to lekarstwo. Już niebawem będzie *tot*.

Dominik ścierpł, słysząc niemiecki wyraz. Doktor Wolański miał zwyczaj okraszać dyskusje germanizmami. Podziwiał obecną niemiecką politykę medyczną, której pewne elementy można by uznać za antyspołeczne.

– Mam lekarstwo na zapalenie płuc – odparł Dominik.

– Co proszę? – zapytał zdumiony Wolański.

– To nowy lek. – Dominik wbił wzrok w podłogę. – Sam go zrobiłem.

Doktor Wolański wybuchnął gromkim śmiechem.

– Oto pan i zbawca! – Zwrócił się do Rut: – Szalony naukowiec, co warzy eliksiry u siebie w wychodku. Proszę go nie słuchać, nic nie da się zrobić. Niech pani nie naraża swojego chłopca na niepotrzebny ból.

Dominik pokręcił głową.

– Proszę wybaczyć, doktorze, ale jeśli będziemy kontynuować terapię bez zmian, dziecko umrze.

Wolański znów zwrócił się do matki dziecka:

– Wybór należy do drogiej pani. Możemy kontynuować leczenie przepisane przez waszego lekarza, zgodnie z tym, co dla uśmierzenia bólu od dziesiątek lat zalecają wszyscy cieszący się szacunkiem fachowcy. Albo może pani pozwolić, by ten szalowiec zadał swoim tonikiem więcej cierpienia.

Karski przyglądał się kobiecie, która wodziła wzrokiem po lekarzach, starając się podjąć decyzję. Gdyby opierać się wyłącznie na wyglądzie, wybór byłby oczywisty. Dominik nie sprawdziłby się w roli pediatry. Nie znał żartów, a minę robił tak kwaśną, że na jej widok zsiadłoby się mleko. Sylwetkę miał drobną, lecz krzepką, nosił ciężkie okulary w masywnych oprawkach. Poza tym nigdy, przenigdy się nie uśmiechał. Poniekąd przed kimś właśnie takim jak on matki mogłyby ostrzegać swoje potomstwo: był niczym zbir z bajki czy porywacz dzieci.

Jego kolega za to prezentował pozorną pogodę i jeśli się go dobrze nie znało, można było go uznać za wybawiciela dziatwy. Policzki doktora Wolańskiego kwitły wesołym rumieńcem, a oblicze miał niemal idealnie okrągłe. Z ramion i postury kojarzył się mile z wańką-wstańką, a głowę zdobiły mu puszyste blond włosy. Gdyby zapuścił brodę, byłby z niego znakomity Święty Mikołaj na nowoczesną modłę. Gdy szło zatem o sam wygląd, należało rozstrzygnąć między porywaczem dzieci a Świętym Mikołajem. Dominik nie dziwiłby się kobiecie, gdyby wybrała jego przeciwnika. Tak się jednak nieszczęśliwie złożyło, że Święty Mikołaj dokonywał stopniowej eutanazji jej dziecka za pomocą opium, podczas gdy porywacz chciał przynajmniej spróbować uratować chłopcu życie.

Matka Daniela popatrzyła na Wolańskiego, na Dominika, a potem znowu na pediatrę.

– Dziękuję, panie doktorze – zwróciła się do niego. Mówiła cicho i z pokorą. – Nigdy nie zdołamy się panu odwdzięczyć za okazaną troskę. – Dominik rozpoznawał ten głos, ten układny, kobiecy ton. – Ale jestem córką prostego szewca – dodała. – Chciałabym wypróbować czarodziejski eliksir.

Doktor Wolański pokraśniał jak burak. Zrobił wdech, wydech, potem skinął głową, jak gdyby z nagła wezbrała w nim burza, która równie szybko minęła. Często się tak zachowywał – ogarniało go roztargnienie, popadał w obsesję na jakimś punkcie, a potem skupiał się na czymś innym, jakby nigdy nic.

– Biedaczko. Ale nie wie pani, co czyni. Modłę się za duszę pani syna. – Wolański odwrócił się do Dominika i wymamrotał szorstko: – Niech ci będzie. Krew tego dziecka będziesz miał na rękach. – Potem odezwał się do pielęgniarki: – Siostró, ja umyвам ręce od tego przypadku, a na akcie zgonu tego chłopca jako przyczynę śmierci należy podać: „Morderstwo dokonane przez doktora Karskiego”.

Dominik zastanawiał się, czy wspomnieć, że na akcie zgonu na ogół nie ma rubryczki na imię i nazwisko zabójcy, ale ugryzł się w język. Doktor Wolański oddalił się niezdarnie korytarzem, potykając się po drodze o stalowy wózek z przyrządami medycznymi. Metaliczny brzęk odbił się echem po całym oddziale.

Trzeba przyznać uczciwie, że w kwestii leczenia tego dziecka Dominik miał nad doktorem Wolańskim niejaką przewagę. Po pierwsze, dawno temu widywał wiele podobnych przypadków. Po drugie, przez ostatnie jedenaście lat łączyła go ukradkowa żążyłość z bakteriami, tymi nowymi zwierzętami, które choć drobniejsze niż główka szpilki, zdolne były obalić słonia. Podziwiał ich moc i studiował ich osobliwe wędrówki przez ściany i tkanki, przez arterie do żył. Czasami nawet, gdy pielęgniarki poszły już do domu, mówił do nich w swoim laboratorium. „Spryciula z ciebie”, rzucał do gram-dodatniej komórki gronkowca.

Pielęgniarka nachyliła się w jego stronę.

– Co pan zamierza, doktorze?

– Podam mu lekarstwo – odparł Dominik drżącym głosem.

– Które sam pan zrobił?

Pokiwał głową.

– Z czego je pan zrobił?

– Z pleśni. – Odchrząknął.

– Z pleśni? – powtórzyła pielęgniarka, jakby dzięki temu słowa miały się okazać nieprawdziwe. – Zamierza pan wstrzyknąć dziecku pleśń? – Nadal się w niego wpatrywała.

– Niech siostra przyniesie z chłodni fiołkę z żółtą etykietą. Proszę nabrać sześć jednostek. – Oszacował wagę dziecka z namysłem. – Osiem jednostek. Igła dwudziestka szóstka.

Siostra Emilia westchnęła i wyszła na korytarz.

Dominik, podobnie jak zapewne co drugi lekarz w Europie, przeczytał pracę Szkota Alexandra Fleminga o tym, jak zabić bakterie za pomocą pleśni. Większość ją odrzuciła, jego jednak artykuł zafascynował. Jako naukowiec był staroświecki i wyznawał zasadę *nullius in verba* – nie wierzyć nikomu na słowo, wypróbował więc koncepcję wysuniętą przez Fleminga. W pierwszej kolejności odkrył, że Fleming nie znał się na chemii organicznej. Gdy umieszczało się pleśń na szalce Petriego, wbrew zapowiedziom szkockiego medyka nie zabijała ona bakterii. W niektórych przypadkach wręcz podnosiła długość życia drobnoustrojów. Jednakże choć Fleming nie doliczył się molekuł węgla, Dominik nie popełnił takiego błędu. Ponownie wymieszał roztwór i za dwunastym razem pędzlał zabił bakterie. Było to raczej osiągnięcie inżynieryjne niż zaawansowane odkrycie naukowe: pleśń przeniknęła ścianę komórkową i osłabiła ją, a komórka się złożyła i umarła.

Dominik popatrzył na matkę chłopca. Nie miała na nogach pończoch. W ustach w miejscu lewego siekacza ziała czarna dziura.

– Nie gwarantuję, że wszystko się powiedzie, proszę pani – odezwał się do niej. – Niewykluczone, że zabije to syna.

Brak zęba przydawał jej swoistego hartu, twardości niczym u steranego przez bitwy żołnierza, który napatrzył się, jak jego przyjaciele idą na śmierć.

– A czy on i tak umrze? – zapytała.

– Tak – odparł.

Umilkła i owinęła się ciaśniej płaszczem. Materiał okrycia zdawał się zbyt cienki jak na luty. Zbliżała się wiosna, lecz w nocy był przymrozek. Czy całą zimę chodziła w tym znoszonym płaszczu? Słyszał, jak szczęka zębami, i wyobraził sobie, jakie to uczucie marznąć przez długie miesiące, nigdy się nie rozgrzewać. Popatrzyła lekarzowi w oczy, a on odniósł wrażenie, że odpytuje go spojrzeniem, tak samo jak wcześniej jej syn – sięgając w głąb niego. Wówczas Dominik pomyślał

o własnym dziecku; on także był rodzicem. Rozumiał, co ta kobieta przeżywa w tej chwili. Rozważała wielce prawdopodobną perspektywę rychłej utraty syna i przeczuwała bezsens, który później może zawładnąć jej życiem. Nie będzie już matką. Dominik przelknął ślinę, czując brzemię czyjś istnienia, które spoczywało w jego rękach.

– Niech pan to zrobi – rzekła w końcu, kiwając głową. – Niech pan mu poda miksturę.

Siostra Emilia wróciła ze strzykawką. Czekwała na końcu korytarza, Dominik musiał więc do niej podejść, zostawiając matkę przy leżącym w łóżku dziecku.

– Asystował pan kiedyś przy takim zabiegu? – zapytała go. Spojrzał na nią.

– Sam podjąłem próbę. Na świni.

– Jaki był rezultat?

Odkaslnął.

– Zwierzę zmarło. – Pielęgniarka zrobiła minę, jakby żałowała, że skierowała pacjenta do Dominika. – Choć niepodobna z pewnością stwierdzić, czy przyczyną była pleśń – zauważył pogodnym tonem, chcąc dodać jej otuchy. – Nie wyciągam naukowych wniosków z próby ograniczającej się do jednego wieprza.

– Nie uważa pan, że należałoby wypróbować preparat na osobie dorosłej, zanim poda się go dziecku?

Dominik westchnął.

– Próby kliniczne potrwać długie miesiące, siostrzo. Chłopiec umrze dziś po południu, niezależnie od tego, czy podam mu zastrzyk.

Pielęgniarka milczała. Wpatrywał się w nią przez chwilę, potem westchnął ponownie. Wziął strzykawkę i przeszedł za róg do pokoju zabiegowego, odsłonił pośladek i wraził igłę we własne ciało. Wcisnął tłok, a sporządzona przez niego mikstura rozeszła się pod skórą, gdzie wchłoną ją naczynia krwionośne, następnie zaś powędruje żyłami do jego serca, które będzie rozprowadzać trującą pleśń po jego ciele, aż trafi do każdego organu i wszystkich komórek. Wrócił do pielęgniarki.

– Co pan doktor zrobił? – zapytała, wbijając wzrok w strzykawkę.

– Zgodnie z zaleceniem podałem to najpierw osobie dorosłej, nim wypróbuję preparat na dziecku.

Wybałuszyła oczy.

– Co teraz będzie?

– Proszę odczekać pół godziny. – Dominik zerknął na zegarek. – Jeżeli w tym czasie mnie to nie zabije, proszę podać chłopcu połowę tej dawki.

Siostra Emilia sprawdziła czas na własnym zegarku, który wisiał na łańcuszku przypiętym na jej piersi.

– Odczekajmy godzinę. Pan doktor jest większy niż on. – Uśmiechnęła się. – Uśmiercenie pana może zająć miksturze więcej czasu.

Dominik skinął głową, wyszedł z dziecięcego i wrócił na obchód. Odwiedził pacjenta, któremu dzień wcześniej wyciął śledzionę, oraz ciężarną, której dziecko ułożyło się pośladkowo, więc niewykluczone, że potrzebne będzie cesarskie cięcie. Gdy ją badał, by się przekonać, czy dziecko się odwróciło, wyobrażał sobie, jak pleśń, którą sobie wstrzyknął, przemieszcza się po jego ciele i wnika w każdą komórkę. Przed oczyma miał taką pleśń, jaką zdrapuje się z chleba – te zielonoszare kręgi wykwitające pierzastymi obłokami, które obecnie falowały w jego krwiobiegu. Po godzinie wciąż żył, wrócił więc na dziecięcy. Pod jego dyktando siostra Emilia podała chłopcu cztery jednostki pleśni z pędzla.

– I co teraz? – zapytała.

– Czekamy – odparł Dominik. Oboje odwrócili się i obserwowali chłopca.

Dziecko poderwało się w ataku kaszlu.

– Co się dzieje? – krzyknęła jego matka przeszywająco. – On się dławi!

– Panie doktorze? – zapytała siostra Emilia oskarżycielskim tonem. Mierzyła go takim wzrokiem, jakby już zabił dziecko. – Czy pleśń wywołała u pacjenta niekorzystne skut-

ki, inaczej niż u pana? – Chłopiec krztusił się, oddychając głęboko, z udręką. Potem poczerwieniał i złapał się za gardło, jak gdyby próbował odpędzić duszącą go zjawę.

Dominik pokręcił głową.

– Nie sędzę. – Odsłonił pierś dziecka i osłuchał je ponownie stetoskopem. – To nie pędzlak. Laudanum przestało działać. Tłumiło skurcze klatki piersiowej, teraz jednak kaszel wraca. To dobrze. – Dziecko rzeziło. – Trzeba rozbić flegmę, nim się w niej utopi.

Siostra Emilia wiedziała, co robić. Wzięła miednicę.

– Pluj! – rozkazała.

To zwróciło uwagę dziecka, które podniosło na nią wzrok, jakby chciało się upewnić co do niegrzecznego nakazu. Pielęgniarka pokiwała głową, a ból uległ wobec dziecięcego impulsu. Chłopiec wypluł do miski dużą brązową grudkę flegmy. Przyjrzał się oślizgłej kulce z uśmiechem.

– Doskonale! – zakrzyknął Dominik. Dziecko wydeło wątlą, zajętą chorobą pierś z dumą. – Nie przestawaj, dopóki wszystkiego nie wykaszesz.

– W takim razie jeszcze raz! – poleciła chłopcu pielęgniarka niczym generał wydający rozkaz najdzielniejszemu kapralowi. Poklepała go po plecach zdecydowanie i rytmicznie jak do marsza.

Chłopiec chwycił miednicę. Pobudził płuca jeszcze raz, tym razem mocniej i głębiej. Do miski wpadła kolejna grudka. W ciągu godziny wypluł jeszcze dziesięć zielonych kulek, podbarwionych czerwonym, rdzawym brązem.

Dominik poszedł do domu przygotować dla córki kolację, a gdy położyła się spać, wrócił do szpitala. Gdy przyszedł, dziecko spało spokojnie. Gorączka zelżała. Skoro pierwsza iniekcja go nie zabiła, Dominik zlecił, by o północy podano mu drugą, dwukrotnie większą dawkę. Przyniósł sobie skórzany fotel z gabinetu i spał na dyżurce pielęgniarek. Oddziałowa dzienna zbudziła go o siódmej.

– Niech pan pójdzie odwiedzić pacjenta, doktorze – powiedziała, kładąc mu dłoń na ramieniu.

Dominik przełknął ślinę i poszedł szybkim, acz równym krokiem, nie chcąc okazać paniki. Jeżeli dziecko zmarło, konieczna okaże się dalsza praca, należy zmienić parametry. Będzie musiał nieco się cofnąć. Dotarł na koniec korytarza i skrzył za róg. Szedł prędko, więc poślizgnął się i zatrzymał na skraju łóżka Daniela. Chłopiec siedział i pił z kubka rosół. Policzki miał zarumienione. Dominik pomodlił się w duchu z wdzięczności.

Dziecko opuściło szpital w podskokach cztery dni później. W rękę trzymało kandyzowane jabłko, które dała mu siostra Emilia, i lizało je z uciechą. Zaledwie jeden na dziesięć tysięcy lekarzy w Europie wypróbował technikę Fleminga. Ponoć wojsko amerykańskie nad czymś pracowało, podobnie jak Wehrmacht. W ciągu wieków bakterie zabiły miliardy ludzi. Teraz, w swoim jednoosobowym laboratorium, Dominik opracował metodę, by je powstrzymać, przy użyciu kuchennej pleśni. Amerykanie mówili na to „antybiotyki”.

Gdy wychodzili, matka chłopca podeszła do Dominika, a następnie uklękła przed nim na podłodze jak rycerz przed królem. Leżący w łóżkach pacjenci odwracali się i szeptem komentowali niestosowny widok.

– Niech pani wstanie – powiedział do niej Dominik.

Pokręciła głową i nie ruszyła się z podłogi, a potem zdjęła z szyi cynową błyskotkę i wetknęła mu ją do ręki. Były to dwa trójkąty – pierwszy zwrócony do góry, drugi w dół. Ułożone jeden na drugim, tworzyły gwiazdę Dawida.

– Jeśli człowiek ratuje jedno życie, to jest tak, jak gdyby uratował cały świat – rzekła do niego. Dominik rozpoznał słowa z Talmudu, słyszał je już wcześniej.

Ujął gwiazdę i musnął kciukiem jej powierzchnię. Promienie porannego słońca wpadające przez oprawne w ołów okna oddziały migotały na taniej lśniącej powierzchni. Chciał oddać kobiecie gwiazdę, lecz ona zaoponowała gwałtownie.

– To moja zapłata – oznajmiła. Nie pokryłaby w ten sposób dziesiątej części kosztów pobytu dziecka w szpitalu.

Dominik pokiwał głową, a potem pomógł matce chłopca wstać z podłogi. Delikatne zmarszczki na twarzy sugerowały, że miała około trzydziestu lat, lecz prawdopodobnie była znacznie młodsza. Gdy ujął ją pod rękę, jej łokieć ukłuł go jak igła. Pewnie ważyła ledwie czterdzieści kilogramów.

– Resztę długu odpracuję – oznajmiła.

– Wszystko jest opłacone. Proszę zabrać syna do domu.

Dominik przyjął od reszty personelu gratulacje, że uratował komuś życie, a pielęgniarki powinszowały mu nieprzerwanej zwycięskiej passy. Potem udał się do swojego gabinetu, by w ciszy i samotności świętować ocalone życie. Osunął się na fotel i przez chwilę cieszył się tym uczuciem, lecz potem przekonał się, że w ciszy jak zwykle uciekał myślami do własnego dziecka, Marii. Znalazł się w tym miejscu ze względu na swoją córkę – wszystko to robił dla niej. I nagle zakradło się do niego wspomnienie tego, co uczynił, jak wiele lat temu usunął matkę Marii z życia córki. Owładnęło nim znajome mroczne uczucie, poprawił więc okulary i odwrócił się w stronę okna, by je odpędzić. Był zły, że właśnie teraz wróciło do niego wspomnienie o tym wydarzeniu. W takie dni, gdy dopisał do bilansu czyjąś duszę, powinien mieć prawo powiedzieć, że warto było popełnić ten dwuznaczny czyn, jakiego się dopuścił piętnaście lat temu.

Polub nas
na Facebooku



KUP TERAZ



swiatksiazki.pl

CZY PRAWDA Z PRZESZŁOŚCI POWINNA WYJŚĆ NA JAW?

Luty 1939 roku. Europę zasnuwa widmo wojny. Niemieccy żołnierze lada dzień mogą przekroczyć granicę. Tymczasem wchodzącą w dorosłość Marię najmocniej zaprzęta zniknięcie matki przed kilkunastu laty, tym bardziej że ojciec dziewczyny pilnie strzeże związanej z tym tajemnicy. Dominik Karski, ceniony krakowski lekarz, całe życie poświęcił córce. Dręczą go jednak wybory, których dokonał, by ją chronić. Teraz, w obliczu zagrożenia, ponownie musi podjąć trudną decyzję...

Nr 21000045

ISBN 978-83-8074-404-2



9 788380 744042

bukowylas.pl

Polub nas na
Facebooku



Cena 44,90 zł (w tym VAT)